WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ



№ 27. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 6 Lipca 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.75, kwartalnie: Mk. 8.25, półrocznie: Mk. 16.50, rocznie: Mk. 33.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.90; ogłoszenia zwycz. 80 f. „Nadesłane" Mk. 3.15, margines Mk. 22.50. Kolumna Mk. 450. Załączniki Mk. 50 za tys.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 85.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 38, półrocznie: Mk. 19, kwartalnie Mk. 9.50.
W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.
W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Rynek 17 i Zastępstwo ul. Retoryka I.
We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchstaba — ul. Karola Ludwika 21.

Prosimy Szan. Czytelniczki i Czytelników o nadsyłanie prenumeraty na kwartał III-ci.

OD WYDAWNICTWA.

Z rosnącą nieustannie drożyzną artykułów codziennej potrzeby podnoszą się też niepomiernie ceny wszystkich innych produktów. Koszta wydawnictw zwiększają się w coraz znaczniejszym stopniu. Jak wielkie są różnice między cenami przedwojennemi a obecnemi — papieru i produktów, używanych w drukarstwie, wykazały już dowodowo pisma codzienne.

Przez długi czas wstrzymywaliśmy się od podwyższania ceny prenumeraty, pragnąc na jaknajdogodniejszych warunkach służyć szerokim warstwom narodu.

Ale ceny papieru nieobliczalnie poszły w górę, pracownicy drukarscy żądaniem znacznego podwyższenia płacy zmusili właścicieli zakładów drukarskich do podniesienia ceny druku, pracownicy redakcyjni i administracyjni też zażądali uwzględnienia drożyźnianych warunków—zatem i my zmuszeni jesteśmy podnieść cenę pisma.

Nie wątpimy, że Szan. Czytelniczki i Czytelnicy „Bluszczu" zechcą uwzględnić warunki, w jakich znalazły się wydawnictwa polskie i raczą wyrozumieć, iż ta podwyżka cen jest jedynym sposobem uratowania prasy polskiej od ostatecznego upadku.

„Bluszcz" w prenumeracie od 1-go Lipca kosztować będzie: w Warszawie kwartalnie z odbiorem do domu Mk. 8.25, poza Warszawą — Mk. 9.50.

JULJA KISIELEWSKA (J. OKSZA).

CHEŁMSZCZYZNA.

Unja a Schyzma. Męczennicy a Hajdamacy.

1)

WSTĘP.

„Pod ołtarzem Bożym słyszałem głosy ofiar wołające: Czemu nie bronisz krwi naszej? I odebrały Bożą odpowiedź: Czekajcie czas niejaki, aż się wypełni liczba braci waszych".

Wypełniła i przepełniła się liczba. Głos krwi męczeńskiej św Józefata, błogosławionego Andrzeja Boboli i setek świętobliwych ojców Bazylianów, zamordowanych barbarzyńsko przez rozwścieczoną schyzmę i kozaków,—połączył się w długim różańcu ofiar—z głosem krwi, przelanej przez cara Piotra, w czasie jego potwornej gospodarki w granicach Rzeczpospolitej, — z krwią unitów, gwałtem na prawosławie nawracanych przez Katarzynę, z jękiem ludu, katowanego na ogromnych obszarach Białorusi za Mikołaja,—z głosem matki Makryny Mieczysławskiej i bazylianek mińskich, Ojca Słobodzkiego, opata Kobryńskiego, ks. Micewicza i tylu, tylu innych świętych męczenników Bazylianów, i proboszczów unickich, z głosem krwi prostego, wiernego ludu z Dyskowa, Dudakowicz, Porozowa aż do tych najświeższych prześladowań za pamięci naszych ojców i naszej, — z głosem nieszczęsnych matek z Hrud, z Drelowa, Kodni, Parczewa, Sosnowicy, Pratulina, Niedźwiedzicy i innych na Chełmszczyźnie i Podlasiu.

Wypełniła i przepełniła się liczba.

Gorąca, wielka, bohaterska wiara ludu, najwytrwalszego na świecie, najgłębszego w cichym i zawziętym entuzyazmie, przetrzymała wszelkie próby męczarni—i katakumbowe długie lata oczekiwań. Nadeszła wreszcie chwila zwycięstwa idei. Ukaz tolerancyjny z 1903 r. pozwalał na wybór wolny wyznania — umożliwiał oficyalne, choć obwarowane wielu złośliwemi formalnościami—zrzucenie prawosławia. Tłumny, radosny, uroczysty powrót do katolicyzmu, skoro do unji nie było sposobu — był odpowiedzią jaskrawą, bijącą w oczy na wieloletnie „miłościwe apostolstwo schyzmy". Rozwścieczona do żywego re-

akcya schyzmatycka, pobita moralnie — chwyciła się znowu brutalnej przemocy. Wyodrębnienie Chełmszczyzny — przeprowadzone w sposób nowożytny—parlamentarnie w dumie państw,—ten gwałt dokonany raz jeszcze na męczeńskim ludzie, tylokrotnie skatowanym, a hartownym w nieszczęściu,—to już ostatnia kropla, co przepełniła czarę zbrodni i nadużyć, płynących z ducha moskiewskiej, krwawej propagandy. Rok oddarcia Chełmszczyzny — był ostatnim rokiem bezkarnej, olbrzymiej potęgi kolosa na glinianych nogach—caratu—ostatnim rokiem panowania ciemnego mrowia popów i mnichów Elogjuszowej gwardyi.

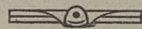
Przepełniła się liczba.

Cud, którego oczekiwali nasi najwięksi, co święcie wierzyli w sprawiedliwość Boga, w jego moc najwyższą, w jego Miłość i dobroć bez granic, cud, o który modlić się kazał Mickiewicz—spełnił się w oczach naszych, w oczach ludzi małej wiary i leniwego ducha, w oczach mędrków, statystów, kupców i ratai. — Cud nie zadziwił, prawie nikogo, nie rozgrzał serc—nie rozpłomienił wielką wdzięcznością, wielką wiarą, wielkiem oddaniem—nie pociągnął krzyżowych rycerzy i obrońców na kresy — przeciw schyzmie, przeciw szatańskiej mocy, co ciała i dusze kruszyła, lub zakuwała w kajdany. I oto nawiezieni tam przez czarną sotnię popów — prawosławni z Chełmszczyzny i Wołynia, czmychnęli spiesznie z uchodzącą armią rosyjską — nie ostali się apostołowie prawosławia—wszystko to zwiało do czysta—zostawiając chaty, cerkwie, dobytek. Ale ludność katolicka tych ziem, wypędzana i wleczona gwałtem z kraju, została. — Pokryła się po lasach, po różnych wertepach, została bez domu, bez schronienia, na zgliszczach barbarzyńsko i bezwzględnie popalonych wiosek i miasteczek, została, aby odzyskać ukochane kościoły — aby powitać zjawę lat dawnych—polskich ułanów, gaszących resztki pożarów i wpadających w radosnem uniesieniu na cofające się kozactwo.

Zaprawdę—czyż może być coś bardziej wzruszającego, nad to spotkanie bohaterskiego i wierzącego ludu i garstki zapaleńców, co krwią swoją szli przypieczętować polskość tej wyzwolonej od schyzmy krainy. Nie inni, ale oni właśnie w imię Chrystusa i Najświętszej Panny, z hasłem konfederatów barskich na ustach — zajmowali te drogie pamiętne miejscowości: ich kapelani odbierali opustoszałe, sprofanowane świątynie, niegdyś unickie—i po latach tylu po raz pierwszy lud zmędniały, wojną wyniszczony, biegł do świątyni na odgłos dzwonu — przystępował do sakramentów świętych—by się umocnić w wierze i złożyć Bogu najwyższemu dzięki za miłosierdzie–za sąd Boży nad katami. Takie nabożeństwo w odzyskanym kościołku cudownej Matki Boskiej w Leśnej — taka msza polowa księdza biskupa Bandurskiego w noc wigilijną na Wołyniu—to niezapomniane momenty dla każdego serca, w którem wielka tradycya katolicka naszych ojców jeszcze żyje, w którem nie zamarło uczucie, sprzęgające wiarę i ojczyznę. Niestety zimowe czaty między Styrem a Stochodem, znaczące się piękną kartą w kresowej służbie legjonów—to krótkotrwały, kilkomiesięczny epizod dla kilkunastu tysięcy obrońców. Obce, obojętne dłonie broniły Łucka, obce obojętne, niezdarne, różnonarodowe siły cofnęły się, zostawiając cały Wołyń na łup schyzmatyckiego bandytyzmu. Nie było tam setek tysięcy entuzyastycznych polskich dłoni, nie było katolickiej krucyaty, aby odeprzeć daleko wstecz — wszelkie możliwe ataki i schyzmatyckie apetyty—na ziemię krzyżów i mogił — na Chełmszczyznę i Podlasie. Garść znikoma znowu tylko była tam po to, by oddać Bogu honor Polaków. I ta garść swoją męską postawą, swem zdecydowaniem żołnierskiem sprawiła tyle, że w maju 1916 roku — zdecydował się rząd austryacki zrobić restytucyę—wcielić byłą „gubernię chełmską“ z powrotem do Królestwa Polskiego, aby naprawić krzywdę, „którą Polacy odczuli byli boleśnie, jak uderzenie pięścią w twarz“.

Te wszystkie fakty tak świeże, tak przejmujące, nie wywoływały zbyt głośnego echa w tem społeczeństwie polskiem, które niestety nie jest z ducha już ani katolickie, ani rycerskie. Włączenie Chełmszczyzny do Królestwa nie wiele zainteresowało ludzi, których cała fantazya skierowana została ku genjalnej organizacyi szmuglu, i dla których skonfiskowanie wieprza, lub kłopoty rekwizycyjne wypełniają dostatecznie sferę namiętności politycznych. Sprawa ochrony katolicyzmu na wschodzie, sprawa unitów i unji—nie bardzo wzruszyła i tych doktrynerów Polski etnograficznej, co ganią Kazimierza Wielkiego za jego politykę wschodnią, dla idei jagiellońskiej nie mają żadnego zrozumienia,—Oleśnickiemu jego katolickich dążeń i zdecydowanego parcia ku Wschodowi przebaczyć nie mogą, a Jezuitów uważają zawsze za główną przyczynę upadku Polski — nie uznając zupełnie ich doniosłej pracy na Litwie i Białorusi, której owoców sto kilkadziesiąt lat najdzikszego znęcania się schyzmatyckiej Rosyi carskiej—nie zdołało dotąd do gruntu zniszczyć. Społeczeństwo polskie jako całość — nie zrozumiało doniosłości kresów wschodnich—nie czuło sprawy chełmskiej aż do dnia 9 lutego 1918 roku.

D. c. n.



PRAWDA I WIEDZA.

(CIĄG DALSZY).

Czy możemy wszakże zaufać bezwarunkowo temu, czego uczą nas zmysły? Dlaczego im ufamy?

— Bo nie możemy inaczej! Wszak to, co widzę, czego dotykam jest chyba pewne?

Na to da odpowiedź proste doświadczenie. Oto stoi przedemną szklanka z wodą. Zanurzam w niej pręcik. Czy nie widzicie wyraźnie, że jest złamany?—Wyjmuję pręcik: cały jest i prościutki, jak był przed włożeniem. Słyszę uwagę: „to złu-

---

JAN CZEMPIŃSKI.

Warszawa podczas wojny.

Nieco o bluzkach i pracownicach.

J. E. Panu Ministrowi Zdrowia publicznego i opieki nad pracą.

Szał spekulacyi przeniknął w Warszawie wszystkie dziedziny handlu. Zawrotne ceny przestały już dziwić. Kupiectwo prześciga się w stałem i bezzasadnem śrubowaniu cen za towary, o których mówi się od trzech lat, że są na wyczerpaniu, których jednak jakoś i czwarty rok wojny nie wyczerpał.

Spekulacya stała się chorobą społeczną. Klęską może gorszą od gruźlicy, tyfusu, kiły czy ospy. Tam bowiem przynajmniej toczy się jakaś walka, ktoś zabiega, by chorych ratować i zdrowych od zakażenia chronić, gdy spekulacya szaleje bezkarnie. Z groszy wynędzniałych mas tworzą się wielkie fortuny szakali—jednostek.

— — — — — — — — — — — — — —

Elementarną podstawą wynagrodzenia za pracę jest danie możności pracownikowi zaspokojenia niezbędnych potrzeb: głodu, dachu nad głową i przyodziania ciała.

W Warszawie te elementarne podstawy runęły.

— — — — — — — — — — — — — —

Wystawy sklepów jaskrawią się mnogością i doborem towarów. Ze składów i pak wyszły na światło dzienne jedwabie i koronki, batysty i płótna, sukna i korty. Wystawy sklepów pozwalają mniemać, jak gdyby cztery lata wojny nie uszczupliły zapasów. Wszystkiego dostać można. Lecz ceny...

Skromna, biała bluzka dziewczęca—75 i 100 marek. Najskromniejszy kostyum—400, 500 i 750 mk. Koszule od 120 mk. *sztuka*. Rękawiczki niciane, pospolite: od 15 mk. skórzane—od 40 mk. Buciki—400 i 500 mk. Kołnierz futrzany z pospolitych polskich kretów polnych—400 i 600 i więcej marek.

To—dla skromnych, niezasobnych pracownic. Nie ma co już mówić o wytworniejszych strojach, gdzie panowie kupcy imponują cenami w tysiącach z taką swobodą, jak by miewali do czynienia wyłącznie z klijentelą, żyjącą z wysokiej renty.

Czasami w prasie narzeka się na spekulacyę. Zresztą coraz słabiej, bo i temat to oklepany i wyczerpany. Czasami wyczyta się słówko nadziei, iż gdzieś ktoś bierze się do walki ze spekulacyą.

Zaś głupi, co uwierzy.

I pełznie nadzieja, że może być lepiej. Czai się po kątach szara trwoga i przed przyszłością lęk złowrogi, że niemasz już znikąd ratunku ni zmiłowania. Odporność życiowa słabnie a rośnie — niemoc jak zła rdza, co trawi i żre. I ginie ta mocna pewność i wiara w siebie, że przecież po najcięższej szarudze rozbłyśnie słońce.

Uciekają ludzie jedni przed drugimi, by wciąż żalów i jęków nie słuchać. Bo aż zbiera się w głębi taki szloch bezradny, jak w piersiach dziecka sieroty, co

dzenie!“ — Ale czyż cały świat otaczający nas nie może być podobnież złudzeniem?

Świat ten składa się z ogromnej ilości wrażeń: wzrokowych, słuchowych, dotykowych, powonieniowych i t. d. Każde zaś z tych wrażeń może być wywołane w nieobecności jakichkolwiek przedmiotów, którebyśmy mogli uważać za odpowiadającą im rzeczywistość. Mówimy, że słońce świeci, że świeci lampa i świeca i cały szereg innych przedmiotów zewnętrznych. Lecz zamknijmy się w ciemnym pokoju i naciśnijmy lekko przez powieki gałkę oczną: natychmiast zobaczymy światło. Przeprowadźmy oględnie prąd galwaniczny przez oko—otrzymamy znowuż światło. Są to zjawiska *endoptyczne*, dobrze znane fizyologom. Można je wywołać u ludzi, którzy wskutek operacyi pozbawieni są oka, jeżeli będziemy drażnili jakimkolwiek bodźcem pozostałą część nerwu wzrokowego. Ciepło, ciśnienie, prąd, działanie chemiczne — wszystko to wywołuje bez różnicy, zjawisko świetlne. Podobnież zjawiska można wywołać w uchu: wszak każdy wie, co to jest dzwonienie w uchu. Zbliżmy naładowany elektrycznością przewodnik do powierzchni skóry, a uczujemy jakby dotknięcie pajęczyny.

Wszelako ani prąd, ani ciśnienie, ani inne z bodźców wymienionych nie mają w sobie nic z własności świetlnych. A czyliż nie to samo dzieje się w snach naszych? Widzimy tam szereg osób, przedmiotów, wypadków, którym nic nie odpowiada w rzeczywistości danej.

„Czyż nie jestem człowiekiem, który w nocy śpi a we śnie widzi też same czasem jeszcze mniej prawdopodobne rzeczy od tych, które obłąkani widzą na jawie? Jakże często śni mi się w nocy, że siedzę sobie ubrany w tem miejscu, gdy tymczasem spoczywam w łóżku, obok mnie leży zrzucone ubranie? Jednak teraz otwartemi oczyma patrzę na papier; głowa moja, którą poruszam nie jest we śnie pogrążona; wyciągam rękę świadomie i z zamiarem, a czuję, że śpiącemu to wszystko nie przedstawia się tak wyraźnie. A czyliż nie przypominam sobie, że podobne myśli i we śnie w błąd mnie wprowadzały? Gdy się uważniej nad tem zastanawiam, widzę, że nie mogę odróżnić napewno snu od jawy, a to wprawia mnie w takie zdumienie, że teraz właśnie, wskutek tego zdumienia, zdaje mi się, iż śpię“ *).

A jednak w ogóle łatwo rozróżniamy złudzenie od rzeczywistości, sen od jawy. Jedną z podstaw do tego rozróżnienia jest ta, że to, co nas ludzi, lub co nam śni się nie jest widziane przez innych; dalej że możemy postawić siebie w takie warunki, w których złudzenie znika: wyjmuję pręcik z wody a pozór złamania usuwa się. Budzę się ze snu i wiem od razu, że śniłem tylko.

Nie zawsze jednak tak bywa.

Oto zapytam czy ziemia na której stoimy jest nieruchoma?

Odpowiedzi są niezdecydowane. Wydaje się nam wszystkim, że jest nieruchomą; jednakże wiemy o tem, że tak nie jest; że ziemia przebiega z ogromną szybkością w przestrzeni wszechświatowej, że obraca się dokoła osi i krąży, dokoła słońca a razem ze słońcem podąża ku jakiemuś punktowi nieba mieszczącemu się w konstelasyi Herkulesa. Widzimy codziennie słońce, wędrujące po niebie; widzimy je wszyscy, a nie przestajemy widzieć chociaż wiemy, że w rzeczywistości nie ono wędruje, tylko ziemia obraca się dokoła swej osi.

Więc mamy tu złudzenie i *nieuniknione i powszechne* t. j. przez wszystkich podzielane; złudzenie, którego nie możemy się pozbyć, chociaż wiemy, że jest złudzeniem działającem przytem jednakowo na wszystkich. A im dalej zagłębiamy się w badania naukowe tem więcej odsłoni się przed nami podobnych złudzeń.

Widzieliśmy już z doświadczeń adoptycznych, że światło powstaje w oku za wszelkiem podrażnieniem, niezależnie od tego, czy jest przedmiot świecący nazewnątrz. Tak samo wywołać można dźwięk, smak, powonienie, wrażenie dotykowe i t. d. drażniąc w jakikolwiekbądź sposób końcówki nerwów tych zmysłów. Z drugiej strony fizyka uczy nas, że to, co nazywamy przedmiotem świecącym, nie ma w sobie wcale światła. Są tam, zgodnie z twierdzeniem fizyki dzisiejszej, drgania pewnej osobliwej substancyi, którą nazywają *eterem*. Zapełnia ona cały wszechświat i przenosi drgania owe w postaci fal, które dostając się do oka, potrącają o zakończenia nerwu wzrokowego, umieszczone w siatkówce oka, w postaci pręcików i czopków, a w ten sposób wywołują wrażenie światła, tak samo, jak je wywołuje ciśnieniem prąd elektryczny lub inne przyczyny pobudzające końcówki nerwu wzrokowego.

Przypuszczenie to może niejednemu wydać się bardzo dziwne i nieprawdopodobne. Wszakże trochę zastanowienia wykaże, że jest ono bardzo zbliżone do tego, co każdy z nas uważa za rzecz niewątpliwą. Przyjrzyjmy się dźwięczącej strunie. To, co ucho nasze ujmuje, jako dźwięk, dla oka przedstawia się jako ruch. W strunie nie ma nic podobnego do dźwięku. Fizyka uczy nas, że drgania jej udzielają się powietrzu, które je przenosi do ucha. Tam potrącają one o zakończenia nerwu słuchowego (t. zw. organ Cortiego), w którym wywołują wrażenie dźwięczne. Podobnież wrażenia ciepła i zimna, tak biegunowo przeciwne sobie, powstają wskutek podrażnienia końcówek nerwów, rozrzuconych na powierzchni skóry a przyczyną ich w zwykłych warunkach są szybsze lub powolniejsze drgania niewidzialnych cząsteczek, z których składają się ciała.

W. M. Kozłowski.

(D. c. n.).



*) Kartezyusz, *Rozmyślania* (ku końcowi I Rozmyśl.).

---

zrozumie, że matka w trumnie i nigdy go już słowem nie pocieszy, do serca nie przytuli i nie upieści gorąco. A wokół tylko ludzie źli i obcy, co czyhają, by krzywdę uczynić i z sierocej doli korzyść dla siebie wyciągnąć.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Biała bluzka 100 mk., koszula 120 mk...

To — nie spekulacya. To coś potwornego. To ohyda i zbrodnia. To podlejsze od tej fali bandytyzmu, co po rewolucyi z przed lat dziesięciu z browningiem w ręku napadała na banki i sklepy.

Biała bluzka 100 mk. Koszula 120 mk...

Jest coś dziwnie tragicznego i pełnego grozy w tych cenach bezczelnie w oknach wystawianych. Jest w tem okrutne znęcanie się zdrowego nad konającym.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Ekscelencyo, Panie Ministrze zdrowia publicznego i opieki nad pracą!

Czy Panu Ministrowi wiadomo, że w Warszawie dziesiątki tysięcy dziewcząt i kobiet, chcąc żyć uczciwie, pracują po całych dniach w szwalniach, kwiaciarniach, kawiarniach, cukierniach, biurach i sklepach?

Czy Panu Ministrowi referenci ministerjalni złożyli raporty o tem, jak są wynagradzane owe dziewczęta i młode kobiety, od których wymagają, by, pracując cały dzień, były czysto i przyzwoicie przyodziane?

Czy Panu Ministrowi, budzącego się do życia Państwa Polskiego, wiadomo, że w wielu cukierniach i sklepach dziewczęta za 12 godzin pracy pobierają po 20—30 mk. miesięcznie. Że inne biorą po kilku latach pracy aż 60—80 mk. miesięcznie. Rzadziej po nad 100 mk. miesięcznie.

Czy ministeryum zdrowia publicznego i opieki nad pracą ma gotową odpowiedź dla ufnej pracownicy, która przyjdzie z zapytaniem:

— Co ja mam zrobić, gdy biała bluzka kosztuje 100 mk., a koszula 120 mk.?

I co ja mam zrobić, gdy buciki kosztują tyle, ile ja przez cały rok nie zarabiam?...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Knut Hamsun twierdzi, że najcięższym rodzajem śmierci jest śmierć z głodu.

Knut Hamsun nie obserwował objawów wojny. Nie stwierdził, że jeszcze cięższym rodzajem śmierci jest powolne konanie przez miesiące i lata. Takie konanie, gdy już niema nadziei na całe koszule i obuwie, co by od słoty chroniło.

Są szczęśliwi, których od męki wybawia gruźlica, czy dobroczynny tyfus.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Czy Pan, Panie Ministrze, może dać odpowiedź, co pozostaje tysiącom pracownic, pobierających po kilkadziesiąt mk. miesięcznie, gdy jedna bluzka kosztuje 100 mk. zaś jedna koszula 120 mk.?

I nad czem odrodzony do wolności naród polski więcej będzie płakał w przyszłości: czy nad tem, że nieznalazł siły, by zmiażdżyć podłą hydrę spekulacyi kramarzy czy nad tem, że miasta nasze w kraju zaleje potop prostytucyi, upadku i chorób, dla zwalczania których stworzono ministerjum zdrowia publicznego?

Nieco o nauce Historyi.



„Il faut connaître, ce qui se passe autour de nous, et puis chercher dans l'antiquité". *Jean Jacques Rousseau.*

(Trzeba poznać co się dzieje koło nas, potem sięgnąć do starożytności.)

„Man muss sich übersehen um die nächste Sache, dann die andere suchen". *Kant.*

(Trzeba się obejrzeć za najbliższemi rzeczami, a dopiero szukać innych.)

Jeżeliż tacy znani i uznani filozofowie tak utrzymują, — cóż my mamy do powiedzenia?

Dużo, bardzo dużo.

Przedewszystkiem należy rozwinąć temat i wogóle myśl zawartą u myślicieli.

Głównie mamy na myśli historyę. Nauka historyi jest prowadzona według nas wadliwie, tak w szkołach męskich, jak żeńskich. Wprawdzie od najwcześniejszego zarania, t. j. od klasy wstępnej zaczynają uczyć historyi polskiej. Zatrzymują się na baśniach i podaniach, przeciw czemu nie można nic powiedzieć, bo to dzieci bawi i zaciekawia. Dotąd wszystko dobrze, później wszakże, gdy się rozpozna już rzeczy prawdziwej historyi, zatrzymujemy się nad pierwszym jej okresem t. j. Piastowskim, dotykając wszelkich przyczyn rozdrobnienia kraju po Bolesławie Krzywoustym, utracie korony, następnie zcalenia kraju pod Przemysławem i t. d. i t. d. — co dzieci nudzi. Za Jagiellonów mamy cały szereg wykładów o dobrych lub złych rządach panujących, o ich targach o władzę, zcalenie kraju, — jak najmniej zaś o narodzie.

Następuje epoka królów obieralnych.

Uczeń będzie wiedział o Walezyuszu, Batorym, (co się chwali) obydwu Sasach, o ich przywarach, dalej o Stanisławie Auguście, już bardzo pobieżnie, lecz o przyczynach rozdrobnienia kraju i narodu, prawie nie wie zgoła.

Na Stanisławie Auguście i trzech rozbiorach kraju zwykle się kończy.

O przyczynach tego rozbioru, o upadku wogóle kraju, o ścieśnieniu narodu, prawie się nic nie mówi, przynajmniej nader pobieżnie.

Wogóle, o tem co naród cierpiał pod temi trzema rozbiorami nie opowiada się wcale, tak samo nie wspomina się o tem, co to jest naród. Nie mówi się również, że naród kilkakrotnie usiłował się wyzwolić. Jakimże więc sposobem możemy zaszczepić miłość ojczyzny, kiedy zaledwie wiemy, że ojczyzna — to jest kraj, w którym urodziliśmy się i wychowali...

Według więc tego, co się wyżej powiedziało, przeszedłszy dzieje Polski przed rozbiorem, rozpocząć już od 2-ej klasy należy dzieje Stanisława Augusta, przyczyny upadku Polski, dzieje jej porozbiorowe aż do ostatniej chwili. Potem zaś od klasy 5-ej wrócić się do dziejów Piastowskich i Jagiellońskich, ażeby wpoić zamiłowanie do naszej przeszłości, wykazać jej wielkich bohaterów, ich poświęcenie dla ojczyzny, wspólność z narodem, oraz pojęcie o stosunkach między-narodowych, politykę i dyplomacyę.

Grzymałowski, lub Opowiadanie dziejów ojczystych, czy inne mniejsze historye doskonale posłużą do takich początków. Dla tych, którzy już przełknęli te drobne historye, nauczyciel, czy nauczycielka będą musieli zadać sobie dużo pracy i przy wykładzie dopełniać notatkami i wyciągami z dziejów porozbiorowych, przeznaczonych dla klasy 3-ej i 4-ej lub też wziąć 2-gi tom historyi Władysława Smoleńskiego, rozpoczynający się od: Próby reform i upadku Rzeczypospolitej. — W każdym razie i ta książka doprowadzona do r. 1880, doskonała w pierwszej połowie t. j. do sejmu 4-letniego, jest jeszcze dla umysłów młodocianych za ciężka. Niech więc sobie nauczyciel, czy nauczycielka zada cokolwiek pracy i tę historyę skróci, a potem już od sejmu czteroletniego można wykładać według wyżej wspomnianej książki.

Tym sposobem uczniowie czy uczennice doskonale się obznajmiają z dziejami porozbiorowemi, zaszczepiają w sobie zamiłowanie do rzeczy swojskich, a zarazem niechęć dla nieprzyjaciół naszego kraju.

Od 5-ej lub 6-ej klasy powinniśmy wziąć już obszerniejszą historję, radzę tom I-szy Wł. Smoleńskiego, Lewickiego nieco za rozwlekła, lub inną dla studyowania i rozpatrywania się w przeszłości i dowiedzenia się o naszych bohaterach. Tym sposobem zaszczepi się prawdziwy patryotyzm i da podstawę pod budowę naszej historyi, nad którą dach i kopułę ustawimy, mając już fundamenty przygotowane.

Toż samo dzieje się z historyą powszechną.

Wiemy doskonale, co się działo w Grecji, Rzymie, potem w Niemczech, Francji i. t. d. Żadna zaś panna lub młodzieniec po skończeniu 7 i 8-u klas nie wie, co się działo podczas rewolucyi francuskiej, a jeszcze mniej, co się działo po niej i to w całym świecie. Nie wiedzą, jeżeli sami nie starają się tych braków dopełnić.

Z. Morawska.



Z listów do „Bluszczu".



Z Poznania.

Ostatni dzień Oktawy Bożego Ciała dogasa.

Skończył się tydzień świąteczny, pełen nastroju, taki inny, inny zupełnie, niż zwykle — taki, jak ciągła niedziela... gdy to tramwaje, przepełnione dziewczętami, sunęły w dół ulic, jak olbrzymie bukiety, gdy to każdy spoglądał po sobie, poprawiając garnitur, obciągając spódniczki, prostując fałdy fartuchów jedwabnych, — gdy to kumoszki życzyły sobie wzajem: „przyjemnej procesyi!" a dla urwisów ulicznych „się nie bój!" brzmiało wciąż radosną muzyką!—Zdało się, że nawet kamienice gwarzyły ze sobą, a szczególniej w nocy, po wszystkiem, gdy księżyc wyszedł, a wiatr tajemniczo szemrał osychającemi girlandami... O! wtedy było się jeno posunąć chyłkiem przez Rynek, Jezuicką, albo Garbarami... albo Podgórną, wśród alei lip, albo z powrotem św. Marcińską koło Mickiewicza. Ludzie posnęli już — ale kamienice gadają, gadają, jak plotkary stare, które we dnie do słowa dojść nie mogą.

Oto tu fasada Przemysłowców pyszni się i dumnie potrząsa wieńcem dębowym, urągając tamtym małym koło Ratusza, które poprzytulawszy się do siebie, nieśmiało wyciągnęły szarfy i wstążki, aby się też raz do roku ubrać odświętnie... Śmieje się z nich rząd domów poprzecznych o nowych, szerokich oknach wystawowych, śmieje się i po sobie spogląda, która też fasada najpiękniejsza? — „Niech się pani tak nie rozpiera!"—„A mogę! Stać mnie na to!"— Lecz ciszej od nich, ale zjadliwiej drwi sobie ciemny gmach pałacu Działyńskich, on magnat wśród szarych, pospolitych domów!.. już ze szczególną pasyą zerka w bok na Bank Przemysłowców... „domo novus!..." szepce z goryczą.

Lecz wiatr z cicha zaszeleścił liśćmi, poruszył papierki kolorowe, wydął draperye błękitno-żółte i żółto-białe... pobiegł cichemi stopy po bruku, wsunął się szczeliną na schody Ratusza i w górę, aż lekko uderzył w blaszaną płytkę na szczycie.—I wnet prywatne one konszachty, a spieranie domów ustały. Uciszyły się kamienice, a tylko serce miasta, zaklęte tam na wieżycy jęło prawić.

Oto pamięta ono tyle procesyi, tyle uroczystości, ale więcej to pewno bólu, a żałoby.

I teraz biło żywo, gdy tłum kilkotysięczny stanął zwartym kręgiem na Rynku. Gdy środkiem—jak rzeka w jeziorze przepływał prąd odmienny, wzniesiony ponad resztę chorągwiami, a feretronami. Strojny w bogate czepce Bamberek, w jaskrawe spódnice dziewczyn, w szarfy brackie, zbrojny w laski marszałkowskie, udekorowane zielenią, a rozkołysany, lśniący, mieniący się. I dziwnie grało na tym obrazie żywym słońce, kryjąc się za chmury oświecało raz ten, raz ów skrawek Rynku. Tylko, gdy dziewczątka w bieli, rzucające kwiatki, wyłoniły się z za węgła domów Jezuickiej i powoli w wielki rozwinęły się łuk, to jakoś pojaśniało w oczach, rozwidniło się w duszy i sercu... i... coś z najwcześniejszej młodości, coś z dzieciństwa dni jęło łkać i uśmiechać się wzyą liljową, i wnet ukorzyło się... przed Najświętszym Sakramentem!

Serce Poznania biło do wtóru bębnom w chwilach podniesienia monstrancyi złotej rozszerzało się wraz z pieśnią rzeszy. Odczuwało wszystką radość dni... i cichy, głęboko ukryty ból, że jednak mogło było być inaczej.

Ale parady przecie nie brakło i rozmodlenia też!

Na wszystkie procesye podążyć, to mało komu czas pozwolił, a szkoda, bo każda przecie inna, odmiennie piękna.—Jedne przed drugiemi ulice, a place wynosiły się pięknością swych ozdób i rozedrganym lasem brzeziny.

Oktawa minęła.

Poznań przycicha powoli. Tu i ówdzie rozlegają się jeszcze okrzyki w rodzaju: —„Wojtek! A, chycnijno tam i zdejm te girlandę runter!" — ale już ich coraz mniej. Domy, jak niepyszne, musiały do dawnego powrócić wyglądu, Bamberki strojnisie pochowały czepce do skrzyń malowanych... dziewczynki odłożyły rogatywki do przyszłego roku.

Tylko w oczach mieni się wciąż jeszcze jakiś mocno kolorowy sen—legenda, jakiś wid błyszczący, cudny... jakieś rzesze, pielgrzymujące het... gdzieś... lipową aleją w słońce!

Zbigniew Topór.



WACŁAW ROGOWICZ.

CHÓR PIELGRZYMÓW.

Dramat w 1 akcie.

6)

ANDRZEJ (*jakby nie czując obecności Toni, posępnie*). Może zajrzała w okno i cofnęła się, ujrzawszy...

TONIA (*z lękiem ogromnym*). Co?!

ANDRZEJ (*j. w., głucho*). Zgrozę.

TONIA (*zrywa się na równe nogi i patrzy z przerażeniem na Andrzeja*). Czemu ty to mówisz, Andrzeju?!

ANDRZEJ (*powstaje zwolna i unikając wzroku Toni, w mrocznem skupieniu odsuwa się bezwiednie parę kroków i staje*).

TONIA (*z rozszerzonemi źrenicami, cofa się też trochę i patrzy nań*). (*Przerywa tę niemą scenę dźwięk trąbki samochodu, a w chwilę potem przeciągły dzwonek*).

ANDRZEJ (*wpół do siebie*). Czyżby to Jan?... (*wychodzi naprawo*).

TONIA (*stoi nieruchoma, wpatrzona w ogród*).

ANDRZEJ (*wraca po chwili, w ręku trzyma otwarty list, mówi w podnieceniu*). Toniu, to kamerdyner księcia Gesso. Książe prosi, bym zaraz do niego pojechał: zaszedł go, gdy miał już jechać do nas, znajomy milioner z Bostonu; wrócił dziś z Wenecyi, zachwycony mym obrazem, chce, bym robił jego portret, gdy wróci z Londynu, dokąd udaje się jutro rano na kilka dni; jankes ma czas wyliczony—chciałby się więc zaraz ze mną poznać i umówić w tej sprawie. Książe przysłał po mnie swój automobil i czeka u siebie z tym panem... (*Czeka, co powie Tonia*).

TONIA (*spokojnie*). Jedź, Andrzeju. Długo tam nie zabawisz?

ANDRZEJ. Wrócę niebawem, nie dam się zatrzymać. (*Serdecznie*). Dzisiejszego wieczoru nikomu przecie nie odstąpię.

TONIA (*uśmiecha się smutnie i kładzie mu rękę na ramieniu*). Andrzeju, przyrzeknij mi, na... miłość naszą, że dzisiaj jeszcze, gdy zostaniemy sami, wyjaśnisz mi te zagadkowe twoje słowa, to twoje dziwne zachowanie się teraz... (*Blizka łez*). To mnie tak męczy. (*Bierze go za obie ręce i patrzy mu w oczy błagalnie i wraz stanowczo*).

ANDRZEJ (*wzruszony, całuje obie jej ręce*). Dobrze, dziecino. (*W nagłem postanowieniu*). Dobrze: dzisiaj jeszcze. (*Miękko*). Ufaj mi i bądź spokojna.

TONIA (*całuje go w czoło*). Idź już—a wracaj prędko.

ANDRZEJ (*żegna ją ruchem głowy i spojrzeniem i wychodzi naprawo, odprowadzany wzrokiem Toni, nie ruszającej się z miejsca. We drzwiach*). Jana jeno patrzeć! (*Po chwili trąbka i warczenie odjeżdżającego samochodu*).

TONIA (*ze zwieszoną głową spaceruje po pokoju. Mówi cicho, trwożnie*). Jakieś zawistne oczy patrzą na mnie i na Andrzeja, jakby nas od siebie odepchnąć, rozdzielić chciały... Coś chodzi za mną dzisiaj, niby przyczajone Nieszczęście, po słońcu mego Wesela... gdziekolwiek się obrócę, dotykam jego długiego cienia... a skąd pada, dojrzeć nie mogę. (*W nagłem przerażeniu*). Czyżbym więc była jeno na odległość Cienia od Nieszczęścia?!... (*W męce*). Jeśli się odwrócić nie da — wolałabym mu spojrzeć w oczy. (*Słychać szuranie ciężkich kroków na stopniach tarasu—i we drzwiach od ogrodu, oparty o futrynę, staje* KALEŃSKI, *w ciemnem ubraniu, w czarnym wielkim kapeluszu, z przerzuconą przez ramię czarną peleryną, z kijem o gumowym końcu w jednej — z luźnym pękiem ognistych tulipanów w drugiej ręce*).

TONIA (*spostrzega go po chwili*). Ach!... (*Cofa się o krok*).

KALEŃSKI (*miękko*). Przeraziłem panią?... Przepraszam najmocniej. (*Stoi w miejscu*).

TONIA (*przyszedłszy do siebie*). Nic, nic... tylko tak pan się niespodzianie tu zjawił—nie przypuszczałem, że...

KALEŃSKI (*kończy*)... trupy wchodzą między żywych?

TONIA (*wzdryga się, powoli podchodzi i po wahaniu, które trwa krótką chwilę, ale jest widoczne, podaje mu rękę; ująwszy pod ramię, wprowadza go do pokoju i sadza na fotelu, mówiąc podczas tego niemal swobodnie*). Już pan zaczyna swoje, panie Stefanie? Proszę wybaczyć niegrzecznej gospodyni domu i powiedzieć mi, jak to się stało, że pana tu widzę, jak pan się zdecydował opuścić swój pokój tak odrazu, po tylu miesiącach: onegdaj jeszcze czuł się pan taki osłabiony?...

KALEŃSKI (*uśmiecha się dziwnie*). Coś mnie widocznie na nogi postawiło (*Smętnie*). Miała mnie pani za beznadziejnego już niedołęgę?...

TONIA (*żywo*). Cieszę się bardzo, że panu sił przybyło. (*Troskliwie*). Tylko, czy taki wysiłek nie zaszkodzi panu?

KALEŃSKI (*boleśnie przeczy głową*). Mnie już nic, panno Toniu, ani nie zaszkodzi, ani nie pomoże. (*Zwiesza głowę. Po chwili*). A mam przecie dopiero lat czterdzieści..i i widzę swój kres, coraz bliższy...

TONIA (*serdecznie*). Niewiadomo, komu z brzega, panie Stefanie. Niech mi pan powie lepiej, jak pan się tu dostał?

KALEŃSKI. Odwiedził mnie dzisiaj niespodzianie nasz wspólny znajomy, Strzyga. (*Z gorzkim uśmiechem*). Tyle czasu u mnie się nie pokazywał, że możnaby pomyśleć, iż zbyt się pośpieszył i przyszedł zdjąć ze mnie maskę pośmiertną. (*Pauza*). Namówił mnie, żebym się przemógł i wyjechał na spacer. Prawie gwałtem ubrał mnie, wsadził do fiakra i zawiózł do Lasku. Natura, powiada, wiosenne powietrze, zieloność, widok ruchu, życia... nie znoszę coprawda teraz tego wszystkiego, ale nie opierałem się, bo mi błysnęła nadzieja ujrzenia dziś pani. (*Z tłumioną zawiścią*). Wiedziałem, że w dniu tak uroczystym nie będzie pani miała czasu ani ochoty na odwiedzenie chorego nudziarza, który...

TONIA (*kończy*)... brzydko postępuje, posądzając przyjaciół, bo, właśnie byłam dziś u pana: prosto stamtąd przyszłam dopiero co.

KALEŃSKI (*uradowany*). Doprawdy?... Jaka pani dobra! (*Całuje gorąco rękę Toni*).

TONIA. I wiedziałam już o pańskiej wyprawie na spacer ze Strzygą od konsjerżki. Więc Strzyga odwiózł tutaj pana? Dlaczego nie zaszedł?

KALEŃSKI. Rozżalony jest ciągle na panią za odmowę pozowania mu do głowy Galatei: dlatego wprowadził mnie tu do ogrodu i ulotnił się. Ja coprawda go nie namawiałem. (*Pauza*). Czy wolno wiedzieć, (*badawczo*) dlaczego mu pani odmówiła?

TONIA (*niechętnie*). Nie lubię pozowania i... (*czyni giest niemożliwości*)... nie mogłam zresztą inaczej. (*Pauza*). Jakże pan się czuł na spacerze?

KALEŃSKI (*chce coś odpowiedzieć, lecz porywa go gwałtowny atak kaszlu*).

TONIA (*podsuwa mu pod plecy poduszkę z sofy*). Może wody z winem? (*szybko wychodzi do jadalni, nalewo*).

KALEŃSKI (*uspakaja się, rozgląda, bierze ze stolika obok porzucony pęk tulipanów w obie ręce, wyciąga je ku gasnącej zorzy i patrzy na nie z miłością. Mówi ciężkim szeptem*). Królewskie kwiaty... wyciągają ręce ku zgasłemu słońcu... i krzyczą purpurą... Nierychło. (*Pada z powrotem na fotel, zatrzymując kwiaty w dłoniach*).

TONIA (*wchodzi, niosąc na tacce butelkę francuskiego wina, syfon i szklankę. Nalewa i podaje Kaleńskiemu*).

KALEŃSKI (*wyciągając prawą rękę po szklankę, wypuszcza z niej kwiaty na podłogę. Pije*). Dziękuję. Już przeszło. (*Podając pozostałe tulipany Toni*). Idź złoto do złota. (*Pauza*). Proszę i na te kwiaty okiem rzucić... jeśli to prośba nie zbyt śmiała... (*głucho*) w tym dniu...

TONIA (*ściska mu serdecznie dłoń*). Bardzo, bardzo dziękuję. Może panu wygodniej będzie na sofie? Proszę mi dać ramię. (*Przeprowadza Kaleńskiego na sofę, układa pod głowę poduszki i okrywa mu nogi pledem*).

KALEŃSKI (*zażenowany*). Doprawdy... tyle kłopotu... i tam mi dobrze było... nie wiem, jak mam pani za tę troskliwość dziękować.

TONIA. Proszę sobie wygodnie odpocząć i tem mi podziękować. (*Zapala stojącą lampę elektryczną z pomarańczowym abażurem*). Prawie pociemku tu siedzimy. Światło pana nie razi?

KALEŃSKI. Ależ proszę.

TONIA (*bierze jeden z wazonów i wkłada położone na stoliku przy fotelu tulipany. Dostrzega przy świetle rozsypane na podłodze i schyla się, by je zebrać*). O, tyle ich na ziemi! Godniejsze należy im się miejsce.

KALEŃSKI (*uniósłszy się na łokciu*). Nie, nie, nie! Niech je pani tam zostawi. Niech leżą u twych stóp. Błagam.

(D. c. n.).

MARYA IWANOWSKA (THERESITA).

TYFUS PANNY JAŚKI.

 1)

Są dziewczyny jak kwiat, jak ptak, jak tchnienie wiosny, jak promień słońca, są jak wino co rozgrzewa i leczy, upaja i oszałamia, są jak Anioły, co w lepsze prowadzą światy i każą marzyć o wyższem, piękniejszem, szlachetniejszem życiu.

Wszystko to prawda ale głośno i prozą o tem mówić nie wypada, bo na taki brak oryginalności pozwala się tylko zakochanym i poetom.

Zakochanym — bo właściwie wszystko jedno co mówią, o słowa mniejsza, chodzi o dźwięk, szmer, szelest, intonacyę, infleksyę, głosu tchnienie, to wszystko, co jest odmianą jednego tylko słowa kocham, a poetom...

Poeci zaś innym podlegają prawom... Wszakże to może być zawsze jakiś Mickiewicz czy Wyspiański nadchodzących dni, przyszła chwała narodu, a zaiste być miło Laurą czy Marylą.

Być może jednak zakochani i poeci znają istotną prawdę, widzą lepiej i dalej niż reszta śmiertelnych.

Otóż Jaśka była właśnie jak ten kwiat białej róży, wyrosły w cienistym polskim ogrodzie; kwiat niewielki, wdzięczny, biały, z lekka zapłoniony, o zapachu świeżym i mocnym, o jakim się nie śniło żadnym kwiatom nicejskim ani różom Saronu—była jak skowronek, który gwarem swoim radosnym napełnia powietrze, piosenką prostą, nieuczoną, ludową, ale która chwyta za serca i troskę z czoła zdejmuje — była jak tchnienie wiosny i słoneczny promień, co krew w tętnach ożywia starym i młodym, budzi ochotę do życia i uśmiech szczęścia na usta wywołuje, była jak wino mocne i słodkie, które głowy zawraca co najtęższe, była nawet jak Anioł, bo choć nikt Anioła nie widział, to jednak ludzie przypuszczają, że gdzie się Anioł pokaże, niesie chorym ulgę, cierpiącym ukojenie, wszystkim zaś pociechę, radość i wesele— a to też Jaśka właśnie czyniła nie tylko od święta — ale i na codzień. Po zatem Jaśka była gładka na twarzy i wdzięczna na wejrzeniu, ale w samej rzeczy nikt nie zdołałby powiedzieć co się w niej najwięcej podoba. Oczywiście—całość — bo, to, co nawet w innej uważanoby za pewien brak, u niej stawało się nowym wdziękiem i gdyby przyszło do głosowania, co należałoby w niej zmienić, stanowczo przeszłoby zdanie, by pozostała taką, jaka jest.

Sama jednak Jaśka mocno była ze swej powierzchowności niezadowolona, albowiem nie mogła patrzeć na świat z góry a to poczucie swej niższości, mimo wysokich korków, było jednym z rzadkich i największych zmartwień jej młodego życia.

Niestety, było to cierpienie bez wzajemności, niepodzielane a nawet nierozumiane przez ogół, żal, który nie budził współczucia, uważano bowiem, że dobrze jest tak, jak jest, a że w piśmie św. powiedziano: „Jednem spojrzeniem oczu Twoich, zraniłaś siostro, oblubienico serce moje, jednym włosem szyji Twojej..." Ileż serc zranionych było oczyma Jaśki, która znała spojrzeń tysiące, ileż omotanych jej włosami, które były jak płaszcz nocy, jak potok lawy, jak fale morza czarnego.

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy i któż przejrzał wzrok dziewczynki, co zmienia się w kobietę.

Nie mówię już tutaj o „perskiem" oku, bo to zgoła przypomina wschód i jest całkiem przestarzałe, ani o tym wzroku palącym, świadomym swej mocy, szampańsko-węgierskim na mazowieckim gruncie, bo to zbyt jaskrawe — ale znacie te spojrzenia miękkie, jedwabiste, z za węgła, z po za rzęs, z pod zapuszczonych powiek, te spojrzenia konającej łani i motyla wbitego na szpilkę — te, co szepcą cicho: Pójdź ze mną—Mów do mnie jeszcze—Nigdy cię nie zapomnę. Znacie te oczy całujące uśmiechem, nieśmiało rzucające obietnice nieznanych darów i nieświadomych ofiar.

A tych spojrzeń miała Jaśka w pogotowiu, na zawołanie bez liku, całe gamy z waryantami bez końca i trzeba przyznać, umiała ich używać podług natchnienia chwili z iście kobiecą intuicyą i przebiegłością nieodrodnej córki Ewy.

Zdaje się bowiem serce w dziewczynce tej nie drgnęło jeszcze i było całkiem kryształowe i przezrocze a choć śpiewała: „O mój rozmarynie, rozwijaj się..." miała nadzieję, że będzie rósł długo jeszcze i rozwijał się bardzo powoli.

W przeciwieństwie też do swych rówieśnic, uważała stan małżeński nie za raj obiecany, ale niby tę koronę niebieską, której pobożne dusze życzą sobie dopiero po możliwie najdłuższem życiu. Jaśce wystarczała teraźniejszość i niezbyt chętnie myślała o tej poważnej i oby najdalszej przyszłości, nawet błogi stan narzeczeński budził w niej pewną niejasną trwogę — bo moja ciociu, z jednym i tym samym zawsze siedzieć przy kolacyi, to można apetyt stracić i humor do reszty.

Próżno jej tłomaczyłam, że właśnie ten jeden i zawsze ten sam może być najmilszy, nie chciała mi wierzyć.

Przyszła mi na myśl historyczna anegdota o kapelanie Ludwika XV-go: „Toujours des perdrix", ale oczywiście zachowałam ją dla siebie, natomiast spytałam trochę zniecierpliwiona:

„A czego ty właściwie chcesz? Co byś ty wolała?

— „Ja nic nie chcę—odrzuciła z dąsem — niech będzie, tak jak jest—a co bym wolała—tu wykręciła się na pięcie — ja bym wolała „Jastrzębia" i już jej nie było w pokoju.

Stąd dowiedziałam się, że pierwsza wizya miłości przybrała dla niej kształt widomy Junoszy Stępowskiego, którego bajeczna kreacya w „Jastrzębiu" Croisseta, wyrugowała w owym czasie z serc niewieścich Osterwę i Józefa Węgrzyna.

Wszakże ów Jastrząb, co w niej poruszył jeszcze nietknięte struny kobiecej natury, budząc zaciekawienie i lęk, nie był zbyt groźny... Krążył w zbyt licznem towarzystwie.

Zaiste od chłopca do windy, aż do starych radców i prezesów Towarzystwa Kredytowego, od skromnego subjekta, który jej sprzedawał perfumy, aż do znakomitego tenora, któremu rzuciła kiedyś różę w teatrze, nie wspominając studentów i legjonistów, ci, co byli „klasa" i ci, co chodzili jeszcze do klasy, wszyscy uśmiechali się do niej i nazywali w myśli i głośno „swoją panienką", odprowadzając ją radosnym wzrokiem, szczęśliwi, że mogli ją oglądać zawsze taką wdzięczną, młodą, śliczną, wiosenną, zawsze równie łaskawą i wszystkim im oddaną a nikim nie zajętą — promieniejącą dokoła urokiem nieśmiertelnym kobiecości.

Na jednym punkcie nie zupełnie mogłyśmy się zgodzić, mianowicie, co do sprawy kobiecej.

Nie chciała równouprawnienia.

Próżno jej tłomaczyłam, że czasy się zmieniły, że kobieta teraz pracuje, więc mając większe i inne obowiązki musi posiadać odpowiednie prawa, że Kodeks Napoleona, który uważa kobietę zawsze za małoletnią i pozwala rozporządzać nawet własnym jej majątkiem, tylko w asystencyi męża, jest stanowczo przestarzały.—Jaśka wszystkiego tego słuchała jednem uchem.

(D. c. n.)



IZA BRONIKOWSKA.

Sâdhâna

(Urzeczywistnienie życia).

POWIEŚĆ.



Przemienieni słowem magicznem, ludzie utracili dla siebie nagle przyjacielski—wyrozumiały ton.—Spojrzały w koło oczy dalekie, obojętne, przejęte sobą.—Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej pękło odrazu tysiące niesłychanie drobnych, barwnych nici, które, zda się tak silnie pętają duszę do obcych rzeczy.

— Trzeba wracać do tego, co jest moje—gdyż było moje—! Co mnie to wszystko obchodzi tu—cudze—? I wy—i wasz lichy los. Łączyła nas głupia, bezmyślna wesołość—bawiliśmy się sobą i beztroską własną — a teraz rozdzielił nas — odrzucił od siebie potworny, blady strach.

Cóż wy—mnie!!

Wracać — wracać...

Trzeba się spieszyć; spieszyć za wszelką cenę: wywracać i potrącać losy i sprawy innych, jak wątłe, dziecinne zabawki, porzucone na osowiałej plaży. Trzeba koniecznie dolecieć do domu. Zdążyć, ile sił starczy—przed tem, co ma nastąpić.

Do domu—do swoich—do gniazda—!

Cóż wy—mnie!? Obcy!

Oxford spochmurniał—postarzał się nagle. Zamarły fascynujące blaski egzotyzmu. Uśmiech niezatartego, nienaruszonego piękna kolegjackich fasad wydał się nagle bezmyślnym, głupawym uśmiechem zdziecinniałego króla. Mroźny dech czasu dotarł i tutaj. Zmiana szła naprzód nieubłagana — widoczna. Nawet nieliczne gromadki studentów—we frakach, togach i biretach—w pełnym egzaminacyjnym ryn-

sztunku, wychodząc z sal, gdzie sędziwi „doni“ ważą ich los—i przyszłość, mają miny dziwnie roztargnione—nie urządzają na ulicach rozkosznych figlów—manifestacyi radosnych, nie oblegają z wyciem i piskiem winiarni, lecz, przystając na trotuarze, szepcą coś między sobą poważnie — prawie uroczyście. Oto od lat wielu po raz pierwszy cień lekceważenia padł na wyroki dostojnych profesorów—zbladła czerwień ich tóg i powaga „gronostajów“ przy egzaminacyjnym stole. Młode usta odpowiadają z roztargnieniem, młode oczy marzą o innej czerwieni — o innych wyrokach.

Wojna! Niech żyje młodość nasza!

Nawet stara, jak świat, w dziwaczną mieszaninę męskiej i żeńskiej garderoby przybrana sufrażystka z rogu High street, obwieszona łokciowemi, szkarłatnemi „Votes for Women“—zdaje się mniej nahalnie wciskać przechodniom numery „The Sufregette“—i jakoś przyjaźnie, prawie czule rzuca z podełba ukośne spojrzenia na dobrodusznego, tłustego policyanta opodal...

„Wojna—wszystkim nam będzie ciężko“...

— — — — — — — — — — — — — — —

Ania ma już bilet powrotny w torebce. Odebrała go właśnie od uśmiechniętego, grzecznego subjekta w małym biurze kolejowym na High Street. Dziś wieczorem jedzie sama do Londynu. Resztę podróży trudnej i uciążliwej może, projektuje sobie odbyć w towarzystwie pani Marty. „Sunbury Lodge“ opustoszało prawie zupełnie. Piewsza odjechała Astrid Heglö z narzeczonym. Odprowadzali ją dwa dni temu na kolej liczną jeszcze gromadą, żegnając ze skrupulatnym zainteresowaniem i czułością. Głowy ich—jej i Mechmeda,—dziwnie już obce i dalekie w wyrazie, ma Ania przed oczami, w obramowaniu okna wagonu—wśród bukietów róż i goździków.

Mówili uprzejmie:

„Przyjedziecie do nas—do Egiptu, wszyscy—po wojnie!“ Ania rozmyśla po raz setny nad dziwnem narzeczeństwem. „Astrid, która nie lubiła mówić o miłości...“

Prawie każdy pociąg zabiera kogoś — na zawsze, a rozstania odbywają się dziwnie lekko, tylko stara Miss Jennings, z wielkiej, systematycznej i celowej ruchliwości dotychczasowego życia zapada powoli w jakieś rozpaczliwe osłupienie. Nie skarży się. Nie ma rodziny, z blizkich jej nie pójdzie na wojnę nikt. Tylko, z cichą rozpaczą, błądzi po pustych, ślicznych, słonecznych pokojach, które, Bóg wie jak długo zostaną teraz próżne; to znów zobojętniała na wszystko, zamyka się w swym chłodnym, wyświeżonym salonie. Od tylu lat ma po raz pierwszy ciszę w domu!...

Wczoraj wyjechał Mieronicz.

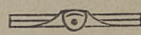
Kupił sobie na drogę wspaniały pomarańczowo kratkowany pled i zastraszającą ilość tabliczek czekolady i sandwiczów. Żegnając Anię, demonstrował swe sprawunki w całej piękności na trawniku. Pragnąc tym lepiej przekonać ją o istotnej urodzie pledu, położył się na nim i zawinął szczelnie, jak mumia. Wystawała mu tylko śmiejąca twarzyczka, o poczciwych, niezbyt radosnych oczach i rozpacznie drgające kosmyki blond wąsików. Nie mógł się jakoś w końcu z pożegnalnego dowcipu wyplątać.

— Niech tam pani o mnie, gdy będę w wojsku pomyśli, aby mi siły starczyło w nogach, do czmychania! — Naturalnie! No, pobłogosław—rakietą, królowo!—Adieu! Nawet Inga patrzyła się na niego żałośnie... Biedny Mieronicz. Ania ma dziwnie silne wrażenie, że nie zobaczy go już nigdy — i choć nie ma jeszcze specyalnego określenia na „śmierć na wojnie“ stara się już teraz myśleć o nim z przynależnym zmarłym szacunkiem:

— Miał takie złote serce i tak lubił banany...

Rozczula się nad nim na dobre. W gruncie rzeczy musiał być łagodny i naiwny, jak dziecko.

D. n.



LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Nina przysunęła się do stoliczka, podając Zygmuntowi papierosy i szukając zapałek.

— Nie mogę znaleść zapałek, ciemno już...

— A ja lubię bardzo szarą godzinę...

Nina oddaliła się w głąb pokoju.

— Przyślę tu Izę, muszę ją trochę zastąpić, ręczę że niecierpliwi się, siedząc tam z panią Misią.

Ale Zygmunt, przybierając kapryśny ton chorego dziecka, prosił by została.

— Pysznie pachną te róże, skąd się tu wzięły, o te, które przypięła pani do stanika, śliczne, czerwone, ręczę że nie z naszego ogrodu, o proszę mi je pokazać, dobrze?

Nina zarumieniła się gwałtownie, nie umiała i nie chciała kłamać, to też przyznała Zygmuntowi, że ma słuszność, gdyż róże te rano przyniósł jej pan Erazm Toliński. Był to rzadki gatunek róż, o ślicznym zapachu, kwitnących późną jesienią.

Czoło Zygmunta przecięła gruba zmarszczka.

— Nie powinna była pani przyjmować tych róż, — rzucił szorstko.

Nina odpięła wolno róże i kładąc je na stoliku tłomaczyła się:

— Tak, ma pan racją, nie powinnam zapominać, że do żałoby kwiaty, niestosowne.

— Ach, nie o to mi chodzi—odparł niecierpliwie — czy pani mnie nie chce zrozumieć? to nie wypada poprostu, żeby ten stary dziwak zasypywał panią kwiatami, dziwię się że Izę to zachwyca, wczoraj opowiadała mi, że Toliński poprostu głowę stracił, zamawia się pod różnym pretekstem do Olszanowa, a tylko pani jest powodem tego. Może pani lubi takich patryarchów?

— Nieznośny pan jest i tylko ze względu na kaprysy chorego, znoszę cierpliwie takie nieuzasadnione wyrzuty. Za karę zostawię teraz pana samego i proszę rozmyślać trochę nad poprawą.

Gdy wyszła, wziął ze stolika pęk róż i upajał się ich słodką wonią.

Od drzwi rozległ się głośny śmiech pani Misi.

— O, patrz Izo, twój mąż, jak student przytula róże, które dostał od swej uroczej garde-malade. Rozumiem, rozumiem, dla chorego trzeba mieć zawsze litościwe serce, a róże w tym czasie, to rzadkość! Jakie te panny wrażliwe, oto i pani zarumieniła się jak wiśnia, a ja jestem tylko naturalna i niczem się nie gorszę — śmiała się trochę przymuszenie, mrużąc oczy i patrząc wciąż na Zygmunta.

Gdy po chwili obydwie panie schodziły po kamiennych stopniach, hrabina Misia zrobiła filuterną minkę i nachylając się do ucha pani Izy szeptała:

— Ma chérie, bądź rozsądna i uważna, na cóż ta przepaska na oczach; tak, tak, Amor lubi płatać figle, gdy się tego wcale niespodziewamy. O, o, co za oburzenie, bosko ci z tym wyrazem gniewu moja droga, mówiła złośliwa kobieta, wsiadając do powoziku — ale, — rzuciła jej po francusku, nie chcąc być zrozumiana przez służbę — prenez garde, l'amour c'est un enfant de Bohème...

Tuman kurzu zasłonił już ekwipaż, unoszący panią Mirską, a pani Olszanowska stała jeszcze nie poruszona na stopniach werandy. Jedną ręką oparła się o marmurowy filar, druga opuszczona zwisła bezwładnie. W uszach brzmiały jej jeszcze ironiczne słowa sąsiadki, a na zwykle bla-

dą twarz wystąpiły krwawe plamy rumieńca. Co myślała, o czem mówiła ta kobieta? Czy to nie zazdrość przez nią przemawiała? Tak łatwo zatruć drugim spokojne chwile, myślała pani Iza wzdrygając się jakby nagłym przejęta chłodem. Otuliła ramiona miękkim szalem, powoli zeszła w głąb parku.

Jesienne słońce gasło, rzucając pożegnalny swój uśmiech, ostatnie promienne wejrzenie i pocałunek miłosny ziemi. Pieściło różowym obłokiem marmurowe ozdoby i kamienne stopnie tarasowe, usypiało pieszczotą ostatnie kwiaty, igrało wesoło z promieniami czarnych włosów pani Izy. Gdzieś z dala dochodził głos dzwonów, w powietrzu były zapachy jakby zawiędłych kwiatów i umierających liści. Jakaś groza przed nadchodzącą zimą czaiła się po krzewach i w gałęziach drzew.

Ostatnie, ostatnie chwile słońca i ciepła, skarżyła się ziemia, ostatnie chwile, powtarzało echo w sercu kobiety.

W oczach pani Izy była groza, lęk przed jutrem.

— Kwiaty więdną — szepnęła cicho, wchodząc w ciemną aleję parku.

D. c. n.

Kronika działalności kobiecej.

O prawa cywilne kobiet.

Radzie stanu i ministeryum sprawiedliwości ma być złożony projekt zmian w kodeksie cywilnym, przygotowany przez komisyę praw kobiet przy „Biurze pracy społecznej".

Kodeks nasz obecnie nie pozwala mężatkom stawać w sądzie bez upoważnienia męża (art. 182), oddaje mężowi zarząd i użytkowanie majątku żony (art. 192), orzeka nawet, że pożytki, pochodzące ze staranności i pracy żony, należą do męża. W r. 1913 Duma zmieniła te przepisy o tyle, że pozwoliła kobietom, żyjącym w separacyi, zarabiać samodzielnie, korzystać z zarobków i stawać w sądzie bez pozwolenia męża.

Komisya praw kobiet projektuje dalszą zmianę wymienionych artykułów w tym duchu, żeby wszystkie kobiety zamężne mogły bez pozwolenia męża zarabiać, prowadzić handel, stawać w sądzie i administrować własnym majątkiem (prócz majątku, pod wspólną administracyą męża będącego). Zarazem komisya proponuje zmienić brzmienie art. 311. 326, 337, 348, 358, 361, 375, 377, 378, 414 i 468 w ten sposób, żeby każdej kobiecie wogóle wolno było należeć do rad familijnych, oraz żeby matki miały równe z ojcami prawo władzy rodzicielskiej i sprawowania opieki nad dziećmi. Chodzi również o przyznanie kobietom prawa być świadkami przy aktach (art. 79) i testamentach, tudzież o zniesienie art. 4 kod. handlowego, zakazującego mężatkom trudnić się handlem bez pozwolenia męża.

W ustawie o małżeństwie 1836 roku komisya praw kobiet proponuje w miejsce art. 208 i 209, orzekających, że mąż winien żonie miłość i obronę, a żona mężowi „posłuszeństwo, jako głowie rodziny", przywrócić dawne brzmienie art. 179 kod. cyw. 1825 r., a mianowicie: „Małżonkowie winni sobie nawzajem wierność, wsparcie, pomoc i przyzwoite utrzymanie", gdyż takie brzmienie zapewnia równość praw i obowiązków obojga małżonków względem siebie.

Wreszcie komisya proponuje uzupełnić art. 212 ustawy o małżeństwie 1836 r. pozwoleniem mężatkom na używanie swego nazwiska obok mężowskiego.

Wyższe kursa pedagogiczne dla kobiet.

Wyższe kursa pedagogiczne dla kobiet, będące przez 12 lat pod kierunkiem ich założyciela Jana Miłkowskiego, a od roku przejęte przez Zrzeszenie wykładających, wprowadzają na przyszły rok szkolny (1918/19) zasadnicze zmiany w swym układzie. Przedewszystkiem wykłady odbywać się będą od 3½ do 7-ej godz. wieczorem; następnie wydział humanistyczny będzie podzielony na dwie sekcye: literacko-językową i historyczną, przytem kurs 1 będzie wspólny dla obu sekcyi, specyalizacya zaś rozpocznie się od kursu 2-go; wreszcie w związku z tą zmianą wprowadzone będą nowe przedmioty specyalne na obu sekcyach.

Konstrukcya wydziału przyrodniczego pozostaje w ogólnym zarysie bez zmiany.

Na wszystkich wydziałach wykłady będą prowadzone metodą seminaryjną i ze szczególnem uwzględnieniem ćwiczeń praktycznych, mających, na celu wyrobienie nauczycielki szkół średnich. Metodyka przedmiotów głównych wykładana będzie na każdym wydziale.

Studya na kursach trwają 3 lata. Od kandydatek wymagane jest ukończenie szkoły średniej.

Kobieta wynalazczynią nowego sposobu produkowania papieru.

Na posiedzeniu Akadémie des sciences (według „Journal officiel" z 30 V 18) Edmund Perrier przedstawił próby papieru i tektury, wyprodukowane z suchych liści przez panią Karen Bramson. Sam proces wytwarzania jest prosty i tani. Z początku liście się gniecie i następnie oddziela się od nich żyłki roślinne. Te ostatnie przez pewien czas trzyma się w wodzie, potem się je suszy i bieli i w ten sposób otrzymujemy tkaninę papierową. Części pozostałe w stanie sproszkowanym miesza się z proszkiem węglowym i z mieszaniny tej formuje się brykiety, lub otrzymuje się przez suchą destylacyę paliwo o 6500 do 7000 kaloryi. Nadto otrzymujemy dziegieć, przypominający dziegieć norweski, kwas octowy i drzewny. Proszek może służyć również, jako bardzo pożywny pokarm dla bydła.

Z 1000 kg. liści otrzymuje się: 1) 250 kg. tkaniny papierowej; 2) 200 kg. czystego paliwa; 3) 30 kg. dziegciu, 1 kg. octu drzewnego i 600 gr. kwasu octowego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani M. R. Tłomaczeń mamy bardzo wiele, na razie bardzo dziękujemy.

Świteziance. Przysłane nam próby rysunków niewątpliwie wykazują duże zdolności. Jest w nich pewien nieświadomy wdzięk i czystość, a więc pewność konturu. Są to jednak próby bardzo jednostronne. Wszystkie główki mają jeden typ i jedną manierę (może bezwiedną) ustawienia. Radzimy zabrać się do poważnej nauki rysunków.

Prenumeratorce z prowincyi. Utrzymanie pensjonatu w Warszawie jest w obecnych warunkach rzeczą bardzo trudną ze względu na zaopatrywanie się w produkty żywnościowe. O ile Sz. Pani miałaby łatwość uzyskania pozwolenia na przywóz różnych produktów ze wsi, sprawa byłaby nader ułatwiona, poza tem pozostaje ważna kwestya nabycia sprzętów, a dziś niema prawie przedmiotu, któryby niepomiernie nie wzrósł w cenie. W każdym razie kapitał potrzebny na podobne przedsięwzięcie byłby bardzo znaczny, oprocentowanie tegoż problematyczne. Odważyć się na zakładanie pensjonatu może ktoś, posiadający duże zapasy w umeblowaniach, naczyniach kredensowych i gospodarskich, oraz jak wyż. możność dowozu produktów.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.** Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.

NASZA POGAWĘDKA.

O, smutna chwilo, w której przypominamy sobie prawdę cudownych słów, że „nessum maggior dolore“... Bo wspomnienia dawnej szczęśliwości są rzadko kiedy słodkiem ukojeniem, a zawsze prawie bólem najsroższym, jadem, co spala duszę. A dzisiaj ta gorzka prawda staje się może bardziej wiadoma niż kiedykolwiek indziej, bardziej dotkliwie każe o sobie pamiętać, niemal w każdej dziedzinie życia, po przez gamę najróżnorodniejszych, najzupełniej odrębnych od siebie uczuć, na widowni wielkiego świata, w domowych ogniskach, w drobiazgach codziennego bytowania, począwszy od różnych tragizmów, które stworzyła wojna i od cierpień, których w najnormalniejszych warunkach życia nikt prawie nie mógł uniknąć—a skończywszy na bezwartościowych, miałkich błahostkach, które zawsze, a cóż dopiero dziś w obliczu wielkich dziejowych przewrotów mogły się wydawać humoreską.

Taką humoreską mogła być zawsze — chociaż dawniej wszechwładna i umiejąca zawojować świat cały — Moda. A dzisiaj albo jej wcale niema, albo — gdy się pojawi—to staje się tragedyą, nie humoreską, a bolesną ironją, bo jakże tu słuchać wskazówek, rzucanych z nieopatrznością zbiedzonemu światu — a zwłaszcza światu kobiecemu — gdy te piękne rzeczy, które właśnie mają być modne, oglądać można tylko z daleka, gdy cieszyć się można niemi tylko w marzeniach—a w rzeczywistości widzieć pustą kieszeń i gnębić się nieustannie myślą, co to będzie, gdy ostatni posiadany „gałganek“ rozleci się — a niebywałe ceny wszelkich materyałów jeszcze wzrosną?...

I nieustannie wraca się pamięcią do tych czasów, kiedy to—„taka a taka rzecz kosztowała tyle a tyle“ i z wyrzutem, skierowanym ku samej sobie powtarza się takie puste słowa, które już nic nie pomogą: „bo gdyby to człowiek mógł był przewidzieć, to byłby“... O, jakże dużo byłoby się wtedy uczyniło przezornych, pożytecznych i praktycznych zakupów, a jak wielu uniknęłoby się niepotrzebnych, rozrzutnych wydatków, których się dziś żałuje... albo też raczej żałuje... że ich dziś czynić niepodobna.



№ 1. **Suknia ze skrzyżowaną bluzką odpowiednia dla młodej osoby.** Forma na zamów. w adm. Bluszczu.



№ 2. **Suknia przybrana płaskim haftem i mereszką.** (Szkic 2). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 3. **Suknia luźnym krojem z fałdowaną spódnicą.** Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

„Nic tak nie boli, jak chwile szczęścia wspominać w niedoli“ — snują się ciągle gorzkie słowa—a jednocześnie myśli biegną dawnym szlakiem.

Któżby to dawniej, mając nawet skromne, ale stałe dochody, trapił się w obecnej porze letnich dni niemożliwością wyjazdu, niepodobieństwem sprawienia kilku toalet, odpowiednich do podróży?...

Słońce, upały, błękity nieba, zieleń, woń kwiatów, blask pogodnych dni — o tem tylko pamiętano, do tego stosowano—życie.

Wieś, letniska, miejscowości kąpielowe, — a do tych bogactw świata odpowiednie stroje—to były dla kobiecego „światka“ ważne zagadnienia.

Moda obecna, aczkolwiek naginająca się do wojennych warunków, pokorna, mniej krzykliwa i starająca się wynaleźć różne praktyczne udogodnienia, jest jednak niepoprawna—a może bezlitosna.

Oto ku uciesze wybrańców losu, a na przekór i ku utrapieniu skłopotanym nie-

wieścim główkom—głosi nam teraz wieści o kąpielowych strojach, o tualetach, które nosić winnyśmy na słonecznych plażach, nad morskim brzegiem... i mówi



№ 4. **Ślubna suknia w formie bluzy.** (Szkic 4). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 5. **Suknia wizytowa modnym krojem z dwóch materyałów.** (Szkic 5). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

o tem z całą bezwzględną obojętnością, jakby to morze było tuż, tuż przed nami... O! Polsko od morza do morza, o niedościgłe marzenia — o dalekie słone wody, z których czerpało się niegdyś ożywczą moc, niegdyś, przed laty, o dobre chwile wywczasów przeżyte może w bajce tylko...

Ale zostawmy wspomnienia i westchnienia, a „zabawmy się“—w modę. Jest więc moda—kąpielowa. Po nad wszystkiem króluje trykot—bluza z majteczkami, lub bluza z majteczkami i spódniczką. Ale to tylko dla tych pań, które nadewszystko miłują — słoną kąpiel. Dla tych, które używają jej rzadziej, a wolą wylegiwać się na plaży, w złotym piasku wybrzeża — moda przeznacza już bardziej skomplikowane kąpielowe stroje. A więc znów trykot, najładniej czarny jedwabny, a na nim zarzucony lekki płaszcz (fasony tych płaszczy są przeróżne) z kapturem, pelerynką, dużym kołnierzem, kimonowy. szeroki, jak peleryna rozcięta po bokach, który może być sporządzony np. z kolorowej tafty. Na trykot również nałożyć można luźną, prostą, barwną szatę,—suknię w formie bluzy. Strój kąpielowy dopełniają kapturek i buciki. Kapturek może być najbardziej fantazyjny, własne pomysły można tu doskonale wykorzystać i tak ułożyć nieprzemakalny materyał, aby było „do twarzy“! A buciki?—buciki może mają najbardziej „wojenny“ wygląd—są bowiem drewniane, rodzaj sandałów lub rodzaj koturnów, pomalowane stosownie do koloru ubrania i przymocowane do nogi skrzyżowanemi wstążkami.

Wojennie także przedstawiają się parasolki—*ersatze* z papieru, używane na plaży, barwnie pomalowane, fasonem przypominające parasolki japońskie,—a przeznaczone dla tych pań, które nie chcą być podobne do murzynek. Istotnie — chronić one mogą tylko przed słońcem — bo na deszczu smutnie by wyglądały.

Oto jak w ogólnych zarysach przedstawia się moda — kąpielowa. Jeśli to gawędzenie o modach wyda się łaskawym moim Czytelniczkom bezcelowe,—to znajdzie może ono coś na swoje usprawiedliwienie—bo czyż nie dobrze jest czasem pomówić o różnych „petits riens“—które nie mają nawet zastosowania w życiu, ale o których rzec można: „opowiem Wam bajeczkę“, a czyż bajka nie jest czasem lepsza od rzeczywistości?...

Marianne.



Szk. 4. Szk. 5. Szk. 6



№ 9. **Kostyum przybrany plecionką.** Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Wzory Ubiorów i Robót do № 27.

№ 1. **Suknia ze skrzyżowaną bluzką, odpowiednia dla młodej osoby.** Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

Suknię z lekkiego fularu w czarne kropki zdobią ukośne plisy z czarnej jedwabnej materyi, któremi oszyte są: kołnierz, brzeg rękawków i bluzki skrzyżowanej w oryginalny sposób na przodzie. Końce przewiązane są z tyłu w szarfę, ozdobioną czarnem oszyciem. Przymarszczona, prosta spódnica przymocowana do gorsecika. Z przodu stanika wkład z tiulu.

№ 2. **Suknia przybrana płaskim haftem i mereszką.** (Szkic 2). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Bogaty, płaski haft i mereszka strojnie ozdabiają suknię z bawełnianego woalu. Bluzeczka ułożona jest z przodu w trzy nacięte kontrafałdy, przymocowane u spodu ukośną pliską, które zachodzą jak patki na kontrafałdy spódnicy. Spódnica zmarszczona i dół bluzki pokryte są aksamitką. Gruba wstawka oraz okrągłe guziczki zdobią kołnierz, wycięcie szyi i rękawki.

Potrzeba: $3^3/_4$ metra mat. 120 cent. szer.

№ 3. **Suknia luźnym krojem z fałdowaną spódnicą.** Forma na zamówienie w admnistr. Bluszczu.

Suknia w formie bluzy sporządzona jest z jedwabnej materyi w białą i czarną kratkę. Dolna część, tworząca spódnicę, ułożona w drobne kontrafałdy, które po bokach wykończone są główką i ozdobione guzikami. Guziki również przybierają przymarszczone wycięcie u szyi i rękawy. Duży kołnierz z białej tafty ozdobiony jest czarnem wyszyciem.



№ 6. **Sukienka dla dzie[wczynki] od 6—8 lat, przybrana [koron]kowym kołnierzykiem.** (...) Forma na zamów. w Bluszczu.

№ 4. **Ślubna suknia w formie bluzy.** (Szkic 4). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Oryginalny stanik w rodzaju szerokiego gorsecika sporządzony jest z tafty lub miękkiej jedwabnej materyi, a na gładką spódniczkę użyć można tiulu, muślinu, markizety lub etaminy. Spódniczka ta może być wykończona w całości z luźną bluzą, lub dla oszczędności materyału może być przyszyta do staniczka z podszewki. Wycięcie szyi i brzegi gorsecika zakończone pliseczką. Wycięcie pach i ramiona zdobi wyszycie z sutaszu. Z boku sznurowanie na jedwabny sznur.

Potrzeba: $3^1/_2$ metra materyału 110 cent. szer. i $1^1/_2$ metra jedwabnej materyi 90 cent. szer.

№ 5. **Suknia wizytowa modnym krojem z dwóch materyałów.** (Szkic 5). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

Suknia wieczorowa oryginalnym krojem sporządzona być może z jednego lub też z dwóch odrębnych materyałów, jak to wskazuje nasza rycina, z jedwabiu i mory. Nowym pomysłem jest długa, podwójna, fałdowana baskina w rodzaju fraka. Z przodu stanik złożony i nacięty w dwa zęby, w stanie przytrzymany wstążką. Kołnierz składa się w części z białej materyi i z koronki.

Potrzeba: 3.05 metra mory, 2.20 metra jedw. mat. po 110 cent.

№ 6. **Sukienka dla dziewczynki od 6—8 lat przybrana koronkowym kołnierzykiem.** (Szkic 6). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Sukienkę z granatowej w zieloną i ponsową kratę etaminy ożywia koronkowy kołnierzyk. W stanie sukienka kilkakrotnie zmarszczona. W przecięciach przytwierdzona jest

wstążka, przewiązana z tyłu w szarfę. Zmarszczenie powtarza się na rękawkach. Boki bluzeczki przy pachach wykończone dzierganiem, ponsową nitką.

Potrzeba: 2.30 metra mat. 100 cent. szer.

№ 7. **Suknia wieczorowa dla młodej osoby.** (Szkic 7). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Suknia nowym krojem w artystycznym stylu, sporządzona jest z żółtej jedwabnej materyi, gazy (Chiffon) w takimże kolorze i z brokateli złotej z zielonem. Z tej ostatniej sporządzony jest gorsecik, przytrzymany szelkami z zielonej aksamitki, która zachodzi na gazowe rękawy. Spódnica modnie udrapowana, ozdobiona jest z przodu motywem z haftu, odpowiednim do brokateli.

Potrzeba: 4 metry jedwabiu, $^1/_2$ metra gazy po 110 cent. szerokokści, 55 cent. brokateli 80 cent. szerokiej.

№ 8. **Ślubna suknia luźnym krojem.** (Szkic 8). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Jedynem przybraniem ślubnej sukni luźnym krojem, w formie bluzy, jest koronka, umieszczona powyżej stanu. Stanik gładki, po bokach lekko ufałdowany, spódnica oryginalnie, skośnie upięta w rodzaj trenu. Zapięcie na okrągłe guziczki i pętelki. Po bokach sznur z chwastami. Wycięcie szyi i rękawki, które można wykończyć również jako długie, oszyte wypustką. Oryginalnie upięty welon dopełnia całości.

Potrzeba: $3^1/_2$ metra mat. 120 cent. szer.

№ 9. **Kostyum przybrany plecionką.** Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Wązka, jedwabna czarna tasiemka zdobi kostyum z granatowego szewiotu, wykończając brzeg przodu naciętego razem z kieszeniami w baskinie, pasek i mankiety. Przód wykończony obłożeniem, szerokie wyłogi i kołnierz. Boczne bryty spódnicy zastebnowane w fałdy.

...kienka dla dziewczynki ...at, przybrana koron-...łnierzykiem. (Szk. 6). ...na zamów. w adm. Bluszczu.

№ 10. **Letni kostyum ulicowy dla młodej osoby.** (Szkic 10). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

Wdzięczny, odpowiedni dla młodej osoby kostyum, sporządzony jest z płótna, kreponu, mat. *éponge* lub z innych lekkich materyałów. Oryginalnością żakietu jest brak zapięcia. Przody schodzące się z sobą, wykończone dość szerokiem wyłożeniem, ozdobionem w dole perłowemi guzikami. Jest to bardzo wygodne, zwłaszcza jeśli kostyum nie szyje krawiec, a szwaczka w domu. Takież guziki zdobią nałożony kołnierz, sporządzony z materyi kostyumu, pokrytego białym batystem. Pasek z taśmy z paciorków. Spódnica ułożona w kontrafałdy.

Potrzeba: $5^1/_3$ metra materyału 95 cent. szerokości.



№ 10. **Letni kostyum ulicowy dla młodej osoby.** (Szk. 10). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Jak leczyć bezsenność.

(Pogadanka hygieniczna).

„Pozbawiony snu i nadziei, człowiek byłby najnieszczęśliwszem na świecie stworzeniem“ — mówi wielki Kant — i rzeczywiście, sen jest jednym z największych przyjaciół ludzkości. Koi on nasze troski i pokrzepia po najcięższej nawet pracy, daje siłę i odwagę do nowych z życiem zapasów. Z tego też powodu łatwo zrozumieć, dla czego tak bardzo odczuwamy wszelkie nieprawidłości naszego snu. Nawet dla człowieka zdrowego jest to prawdziwa przykrość, gdy go w nocy coś zbudzi, choć wie przecież, że skoro wszystko się w koło niego uspokoi, zaraz znowu zaśnie. O ileż jednak bardziej boi się przerwy we śnie ten, komu nie danem jest z łatwością potem usnąć.

W dzisiejszych wyjątkowych, nerwowych czasach, bezsenności towarzyszy zwykle taki niepokój, że przesadzamy zło istniejące, uważając krótki czas czuwania za męczarnię, w czasie której kwadranse przemieniają się w godziny. Niepokój, który przedłużając bezsenność czyni ją tak ciężką do zniesienia, bywa zwykle wynikiem neurastenii. Pod mianem zaś bezsenności właściwej neurastenikom, rozumiemy nietylko zupełny brak snu, ale i taki stan, przy którym przykre sny nas trapią, budzimy się za lada przyczyną, albo też nawiedzi nas sen ołowiany, ciężki, po którym nie wstajemy wypoczęci i pokrzepieni, ale z głową odurzoną, bez chęci do czegokolwiek.

Normalny sen następuje wtedy, kiedy nasz system nerwowy wyczerpał się już do tego stopnia różnymi wysiłkami fizycznymi i umysłowymi, że uczuwa potrzebę spoczynku, a jednocześnie nikną wpływy przeszkadzające zaśnięciu. Do wpływów takich należą po części bodźce zewnętrzne, jak jaskrawe światło, hałasy i szmery w pobliżu; częścią wewnętrzne uczucia, jak: głód, pragnienie, ból; albo też wreszcie myśli nie dające nam zasnąć. Wielkie zmęczenie może sprowadzić sen pomimo niepomyślnych dlań warunków, może nawet przemódz silne postanowienie czuwania. Jest jednak pewna granica, poza którą nadmiernemu zmęczeniu towarzyszy stan podniecenia, który nie pozwala nam zasnąć.

Tych kilka uwag posłuży nam za punkt wyjścia do wskazówek, jak należy się zachowywać, aby upragniony sen przybywał w porę.

Dobry sen jest przedewszystkiem udziałem ludzi spokojnych, zrównoważonych,



№ 7. **Suknia wieczorowa dla młodej osoby.** (Szkic 7). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 8. **Ślubna suknia modnym krojem.** (Szkic 8). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

mających takież otoczenie, dla których zewnętrzne i wewnętrzne bodźce w danej chwili nie istnieją. Powinno się zatem — a prawidła te obowiązują tembardziej ludzi cierpiących na bezsenność — tuż przed snem unikać niespokojnych myśli. Nie trzeba więc wówczas oddawać się wyczerpującej pracy umysłowej, należy unikać podniecających rozrywek, jak również fizycznego zmęczenia, gdyż u osób wrażliwych, przyspieszony przez pracę mięśni obieg krwi wpływa ujemnie na szybkie zaśnięcie. Bardzo już oddawna rozpowszechnione mniemanie, że aby spać dobrze, należy przed położeniem się do łóżka wy-



Szk. 2. Szk. 10. Szk. 7. Szk. 8.

konywać ćwiczenia gimnastyczne, niejednego już pozbawiło snu. Lekka, nie podniecająca rozmowa, nie wymagająca żadnego wysiłku książka — jednem słowem rozrywka, która ani podnieca, ani wyczerpuje, oto najlepsze przygotowanie do snu.

Ćwiczenia fizyczne niezbędne dla każdego, kto chce prowadzić hygieniczny tryb życia, powinny ustawać zupełnie, przynajmniej na godzinę, przed udaniem się na spoczynek. Ludzie nerwowi niech ich zupełnie zaniechają po wieczornym posiłku, jak również najlepiej, gdy unikają wtedy wszelkiej gwarniejszej rozmowy i odrazu udadzą się do sypialnego pokoju.

Wieczerza powinna się składać z pokarmów pożywnych, ale nie obciążających żołądka. Zwykle jednak spotykamy przesadę w trzymaniu się tego ostatniego prawidła, gdyż nieraz osoby nerwowe nie mogą spać, dla tego, że jedzą wieczorem za wcześnie albo za mało. Jeżeli ta jest przyczyna bezsenności, to objawia się ona w taki sposób, że zasypiając odrazu, człowiek budzi się po godzinie lub dwóch i usnąć potem nie może.

Jak opanować myśli drażniące, które nam sen odbierają? Jest to niestety sztuka, której w kilku wyrazach nauczyć nie można. Często jednak przejmujemy się błahostkami, wtedy wystarcza trochę silnej woli dla uspokojenia wzburzonych nerwów, a biada temu, kogo nie wdrożono

№ 15. **Róg i szlaczek szydełkową robotą do № 12.**

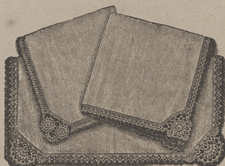
od dzieciństwa do panowania nad sobą, kto daje się unosić afektom, kto nie umie trzymać swego usposobienia na wodzy! W każdym jednak wieku, przy dobrej woli, można utrzymać nerwy w karbach. Przy poważniejszych nawet zmartwieniach, możemy zwrócić myśli na inne tory, czytając dobrą książkę lub słuchając prawdziwie pięknej muzyki.

Pokój sypialny powinien też być odpowiednio urządzony, aby nam ułatwić szybkie zaśnięcie i sen spokojny. Ciasny, duszny, ponury pokój może w tym kierunku wywierać wpływ jaknajgorszy. Choć tak znaczną część życia przepędzamy w sypialni, nieraz jednak jest ona w mieszkaniu traktowana po macoszemu, najobszerniejsze pokoje przeznaczamy dla olśnienia naszych gości. Pomieszczenie więc, przeznaczone na sypialnię, powinno być tak obszerne, aby zawarte w niem powietrze mogło wystarczyć na całą noc do oddychania. Przez cały dzień powinno być ono wystawione na działanie powietrza i słońca. Okna sypialni nie powinny wychodzić na zachód, gdyż w lecie mogłoby być w nocy za duszno. W zimie pokój sypialny



№ 11. **Róg i szlaczek szydełkową robotą do ryc. 14.**

może być ogrzany najwyżej do 13 stopni Réaumura — firanki ciemne dobre są dla utrzymania przyjemnego półmroku. Nie powinien on mieć żadnego hałaśliwego sąsiedztwa — również należy unikać pomieszczania tu przedmiotów, które zanie-



№ 12—14. **Chusteczki oszyte szydełkowym szlaczkiem.**

czyszczają powietrze, jak i zapasów żywności, brudnej bielizny, wilgotnego albo też brudnego ubrania. Meble lepiej, gdy są niewyściełane.

D. n.

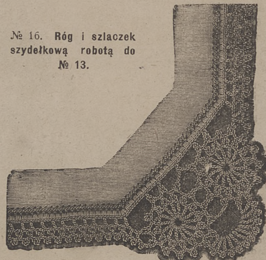
Kwestyonaryusz gospodarski.

Pani R. Ł. z Rawy. Galaretki przyrządzają się następującym sposobem: Na kwartę płynu,— może być woda z dodaniem kwasku cytrynowego, wino białe, sok i t. p., zależnie od rodzaju galaretki, która może być: cytrynowa, pomarańczowa, malinowa, poziomkowa, ananasowa lub z innych owoców—bierze się trzy łuty żelatyny i pół funta cukru, lub mniej, jeżeli dodatki są słodsze. Żelatynę należy namoczyć w zimnej wodzie, a gdy zmięknie — wrzucić ją do płynu przygotowanego i razem zagotować. Poczem wszystko przecedzić i wlać do formy aż przestygnie. Chcąc galaretkę wyjąć, należy formę na chwileczkę zanurzyć w gorącej wodzie, a podstawiwszy półmisek lub talerz, prędko wyjąć. Podając, obłożyć ciasteczkami kruchemi lub biszkopcikami. Bardzo ładne i smaczne są galaretki, przesypywane świeżemi owocami. Wtenczas należy gotową galaretkę trochę przestudzić i trzecią część wlać w formę, którą zaraz wstawić w lód lub w zimną wodę, aby zupełnie stężała. Na wierzch tej zastudzonej warstwy wsypać warstwę owoców świeżych, jak malin lub poziomek, poczem znów wlać warstwę galaretki, którą znów studzić i przesypać owocami. Takie warstwy owoców mogą być dwie lub trzy. Najlepiej, jak do czerwonych owoców galaretka jest biała. Tę samą galaretkę, ubitą na lodzie trzepaczką, aż się zamieni na piankę, nazywamy „mus owocowy".



№ 17. **Poduszka zdobna haftem Richelieu i motywami siatkowemi.**
Wzór na zamówienie w adm. Bluszczu.

Młodej gosposi z Lubelskiego. Ocet owocowy można przyrządzać z jabłek kwaśnych, porzeczek, malin, wogóle z owoców kwaśnych. Jabłka kwaśne, nieobrane, tylko pokrajane, odrzuciwszy pestki i gniazda, wrzucić w słój lub gąsior szklany i zalać wrzącą wodą — $^{2}/_{3}$ słoja napełnia się owocem, a $^{1}/_{3}$ wodą. Słój lekko nakryć papierem lub muślinem i postawić na słońcu lub w ciepłej kuchni, gdzie powinien stać kilka tygodni (8—10) aż fermentacya się skończy. Wtenczas ocet przefiltrować i zlać do butelek, które należy szczelnie zakorkować, żeby nie wietrzał. Jabłka można mieszać z agrestem i porzeczkami.



№ 16. **Róg i szlaczek szydełkową robotą do № 13.**

Samotnej ogrodniczce z Kujaw. Na zapytanie: *„Co robić w ogrodzie w miesiącu Lipcu?"* odpowiem Sz. Pani radami p. St. Szönfelda, który w swym Kalendarzu warzywnym tak radzi. W Lipcu i Sierpniu siać na miejscu: fasolę szparagową, rzepę, rzodkiewkę, szpinak na zbiór jesienny. Siać na rozsadniku: endywię, sałatę rzymską na zbiór zimowy. Okopać: brukselkę, buraki, jarmuż, kalafiory i kapustę powtórnie i zasilić saletrą pory. Przerywać warzywa korzeniowe. Łodygi dyń i ogórków rozkładać, pod owoce podkładać chróst, dachówki lub kamienie. Pomidory ciąć i podwiązywać, liście poskracać. Chrzan i selery główkowe oczyścić z drobnych korzonków. Truskawki, po ukończonym zbiorze, oczyścić z chorych liści, obrać z wąsów, opleć, zasilić, odrostki zakorzenione przesadzić na inne zagony, ziemię przekopać. Niszczyć liszki i mszyce na kapustach i pokrewnych. Szparagarnię oczyszczać z chwastów i zasilić gnojówką. Selery główkowe i chrzan oczyścić z drobnych korzonków. Powyrywać do przesadzenia dojrzałą dymkę cebulową, szalotkę, anyżek i majeranek.

M. Norkowska.

